

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc”
przy Państwowych Seminarjach Nauczycielskich w Białymstoku.

TREŚĆ NUMERU.

- | | |
|--|-----------------|
| 1. Zdolność insurekcyjna narodu polskiego. | K. V. ż. |
| 2. Bracia | V. m. |
| 3. Przedwiośnie | Z. III. m. |
| 4. Nadesłane | P. Jastrzębski. |
| 5. Grosz ubogiego | Aneta. |
| 6. Kontrasty | V. m. |
| 7. Wrażenia z Trębowli | Skała. |
| 8. Legenda Natury | III. m. |
| 9. Wiosna powraca | Z. III. m. |

HUMOR i SATYRA.

- | | |
|---------------------------|------------|
| 10. Zawiedziony | Kotłowski. |
|---------------------------|------------|



Adres Redakcji i Administracji: „Młoda Myśl” Państwowe Semi-
narjum Nauczycielskie w Białymstoku № tel. 36.

Redaktor odpowiedzialny: P. Gajdzica.

Redaktor: K. Kotłowski

Wiceredaktor: E. Bielawska.

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku.

Zdolność insurekcyjna narodu polskiego.

Ostatni tragiczny okres naszych dziejów, okres niewoli, wykazał, jak wysoko rozwiniętą mamy w sobie zdolność insurekcyjną. Daliśmy światu dowód ofiarności krwi, nieznaney w dziejach: mimo nieustannych zakusów wroga nie pozwoliliśmy się wtłoczyć w obce i znieprawiające formy.

Konfederacja barska, powstanie kościuszkowskie, legjony napoleońskie, powstanie listopadowe, styczniowe, wreszcie walki legjonów z r. 1914 — są to wszystko chlubne karty w dziejach narodu polskiego, świadczące o jego żywotności. Za broń chwyтали wszyscy bez różnicy stanu, płci i wieku: obok siebie walczą panowie, mieszczenie i chłopie, obok siwowłosych starców walczy młodzież z ław szkolnych. Wreszcie do walki stają kobiety. Jedne z nich niosą pomoc rannym, inne z orężem w rękę idą mężnie do boju. Wśród tych, które nie zawahały się przed wystąpieniem zbrojnym, największą pamięć wśród rodaków, pozostawiła po sobie: „Litwinka, dziewica-bohater, wódz powstańców, Emilja Plater”.

Z wodzów, szermierzy wolności, na czoło wysuwają się postacie Kościuszki, Dąbrowskiego, Poniatowskiego, Chłopickiego, Mierosławskiego, Trauguta. Oni to upamiętniają lata: 1794-ty, 1807-my, 1812-ty, 1831-szy, 1848-my, 1863-ci, podczas których Polska z szablą lub pistoletem, dubeltówką, kosą czy toporem stawiała do śmiertelnej walki z wrogiem. Przerwy między temi latami są tylko okresami zawieszenia broni.

Pokolenia za pokoleniami zmagaly się ciągle z wrogiem, wykazując tem niespożytą siłę, tkwiącą w Polakach. Ci, przesładowani, nie upadali na duchu, nie znikali z powierzchni ziemi, gdyż mieli czem się bronić:

„Póki w narodzie myśl swobody żyje,
Wola i godność i męstwo człowiecze,
Póki sam w ręce nie odda się czyje
I praw się swoich do życia nie zrzecze,

To ani łańcuch, co ściska mu szyję,
Ani utkwione w jego piersiach miecze,
Ani go przemoc żadna nie zabije —
I w moc dziejowej hańby nie zawlecze!...“

Asnyk.

Myśl swobody w nich żyła. Nie zważając na chłód i głód, garnęli się do szeregów powstańczych. Wiara w świętość sprawy, za którą walczyli, dawała im siłę wytrwania. Dawała ją tym, co czatowali w lasach na wroga, tym, co szli spokojnie na śmierć, tym, co, skazani na ciężkie roboty, wiedli wygnani czy żywoł w śniegach Sybiru. Siłę ci wszyscy czerpali z poczucia, że z ich krwi i cierpienia wyrośnie „ta, co nie zginęła“.

I kiedy tysiące Polaków zapelniały więzienia, kiedy jednym z dłoni miecz wydzierano, chwyтали go inni i w myśl wieszczka: „a kiedy trzeba,—na śmierć idą po kolei, jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec“ — szli, by przypomnieć światu swoje prawa do wolności, czynami swemi podnieść ducha, podtrzymać nadzieję w lepszą przyszłość.

Mijały lata. Pokolenia za pokoleniami kładły się do mogiły, przekazując narodową wiarę synom i wnukom. Idea niepodległości w narodzie nie zamarła. Po klęskach bywały chwile odrętwienia, lecz te mijały. Gdy nie można było walczyć w polu, gdy wróg ściagał każde gorętsze słowo, rozpoczęto pracę w podziemiach: powstają związki patriotyczne i ogarniają coraz szersze koła społeczeństwa. Ani więzienia, ani zsyłania na Sybir, ani kary śmierci nikogo nie przestraszały. Na miejscu jednego uwięzionego stu innych stawało do pracy. Żyła w narodzie ciągle wiara, że musi nadejść chwila, kiedy znów z orężem w rękę upomni się o święte prawa swojej Ojczyzny.

Ta sama niewola, która upadłała innych, w Polsce wytworzyła najwznioślejsze postacie bohaterów, obrońców i męczenników. Odporność nasza leżała w miłości Ojczyzny.

„Sto lat twardym smagano nas biczem,
Sto lat w dusze wlewano trucizny,
A my trwali i żyli tym Zniczem,
Co się zowie miłością Ojczyzny“.

Konopnicka.

Tyle najszlachetniejszej krwi wróg z nas wytoczył, że nie wiadomo, czy kropla jaka pozostała, lała się zaś: „nie na polu bitwy, lecz pod ręką kata, nie od miecza, lecz tylko od pałki i bata“—i nie ulegliśmy. Tkwiło w nas bowiem namiętne umiłowanie wolności, zapał, poświęcenie i ofiarność, których nic zniszczyć nie zdołało. Na te iskry, tkwiące w duszy każdego Polaka, padały słowa wieszczów i budziły do czynu lub zachęcały do wytrwania:

„Wytrwaj, o wytrwaj w tym strasznym pochodzie.
Bądź męstwem wielki, cierpliwością święty,
Bądź przed wrogami wolą nieugięty,
Niechaj ci z serca nie wydrze Ojczyzny
Żaden gwałt ziemski, nieziemska pokusa.“

Temi słowami przemawia do narodu Krasiński, nie pozwała mu zwątpić, wskazuje, jak musi stać na straży praw życia polskiego.

Przeszło stuletnie krwawe walki, męczeństwa i wysiłki są świadectwem, że naród polski nie wyrzekł się nadziei zmartwychwstania. Żeby zaś w więzach niewoli wyrastały silne pokolenia, odporne na zachłanność wroga, żeby imienia Polski z serc dzieci polskich nie wydarto, zwraca się Mickiewicz: „Do Matki Polki“ i wskazuje, jak musi być jej syn wychowany:

„Każde mu wcześniej w jaskinię samotną
Iść na dumanie—zalegać rochoże,
Oddychać para zgniłą i wilgotną
I z jadowitym gadem dzielić łoże...
Wcześniej mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza,
By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
Ani nie spłonął na widok powroza“.

Zahartowanej tak duszy Polaka Rosja, mimo najcięższych katuszy, przełamać nie mogła. Dziakiem jej despotyzmowi i potędze, zbudowanej na przekleństwie i zbrodni, przeciwstawił on w każdej chwili niepojętą swą odwagę i niesplamioną niczem myśl ofiary za wolność Ojczyzny.

Po drodze, utworowanej przez największych bohaterów i męczenników, za wskazówkami duchowych przewodników narodu, poszły w r. 1914 legjony i przywróciły nieznanej, a w niewoli jęczącej Polsce cześć i znaczenie. Synowie tych, których kości spoczęły na Sybirze, w imię tych samych haseł, jak ojciec, a niegdyś dziadek, przez krew i blizny szli „szukać drogi do wolnej Ojczyzny“. Szli z wiarą, że wkońcu „jawa się stanie, co dziadek śnił: szczęściem zakwitnie krwią wieków żyzny łan naszej wolnej Ojczyzny“.

Nadzieje ich się ziściły. Narzucone więzy zostały zerwane, do czego przysłużyła się w największej mierze obficie wylana krew w ciągłych insurekcjach.

K. V. Ż.

BRACIA.

(ciąg dalszy).

Od strony wzgórz, jak zgłodniałe, dzikie bestje, ryknęły armaty.

— No — mruknął Grzybkiewicz — to coś poważnego.

Szare gromady żołnierza napęliły okopy, ten i ów kończył ranny posiłek, doprowadzał do porządku ryszunek, większość jednak siedziała beczynnie, przysłuchując się dolatującym odgłosom coraz to bardziej wzmagającej się strzelaniny. Dowódca, młody oficer, nerwowo kręcił lunetą i coraz spoglądał na zegarek. Salwy karabinów i armat wzmagaly się z żywiołową siłą. Antek ze zdziwieniem zauważył, że tym razem zanosił się na coś większego, niż zwykle ranne przywitanie. Już tu i tam, w odległości paru set metrów od nich, spadało kilka kul armatnich, wrywając całą masę błotnistej gleby.

— Macają nas — mruknął Grzybkiewicz.

Od pierwszej linii okopów stale dolatywał ogłuszający huk. Nocne mgły pierzchły, cała równina, leżąca między wzgórzami, u stóp których zaczął się oddział, gdzie był Antek z Grzybkiewiczem, a lasem, była widna jak na dłoni, Antek wyraźnie widział, jak szare, rozrzucone w tyraljery szeregi posuwały się naprzód, zapadały w ziemię, cofały się, to znów biegły naprzód i znów się cofały.

— Musi tam być gorąco — pomyślał Antek.

Grzmiące salwy armat nie umilkły ani na chwilę, białe, skłębione obłoczki dymów w coraz większej ilości unosiły się w powietrzu. Już kilka gromadek rannych cofało się na tyły. W duszy Antka powstały jakieś dziwne uczucia: czuł jednocześnie żal do kogoś, niejasną, zatajoną w głębi duszy trwogę i złość na wroga, który tak zuchwale tego dnia z nimi sobie poczynął, na Grzybkiewicza i na cały świat zresztą.

— Grzybkiewicz — rzekł do starego ze złością — jakiego licha ty tu siedzisz?! Co właściwie tu robisz?! Szedłbyś stąd do diabła!

Grzybkiewicz obejrzał się niespokojnie.

— Słuchaj, Antek — rzekł przyciszonym głosem — zawsze ci mówiłem, że popędliwy i nierozsądny jesteś, przecież teraz jest wojna, więc jakbym poszedł?

Lecz Antek nie słuchał, a oparłszy się o ścianę rowu, patrzył gdzieś w dal nieruchomym wzrokiem, poruszając nerwowo palcami prawej ręki.

— Albo zachoruje, albo zwarjuje — pomyślał Grzybkiewicz, podciągając pasa i poprawiając torbę z nabojami.

W powietrzu grzmiało. Kilka zaprzęgów armatnich cwałem przebiegło tuż poza oddziałem dotąd beczynnym. Z błyskawiczną szybkością zrzucano z przodków armaty, umocniono je, połączono z obserwatorami, wymierzono i dano tak ogłuszającą salwę, że Antek uczył jakby mocne uderzenie w skroń.

— Do diabła — mruknął — tego tylko brakowało.

— — — — —
Już od kilku godzin Antek wraz z Grzybkiewiczem siedzą w okopach pierwszej linii. Zmęczone, zdziatkowane oddziały potrzebowały wsparcia, to też kompanję, do której należał Antek, rzucono w sam wir walki, by wesprzeć chwijające się szeregi. Rowy, wykopane w wilgotnej glebie, były wprost przepełnione. Żołnierze, siedząc lub nawpół leżąc, pochłonięci byli w owej chwili jedną jedyną myślą — wypuścić jak największą ilość kul ze swego karabinu, to też okopy podobne były do jakichś olbrzymich, ukrytych w gęstwinie bujnej trawy splotów, które ziały ogniem. Antek robił to co inni: machinalnie repetował broń, przykładal do ramienia i strzelał, strzelał bez końca. Ze wszystkich uczuć, które nie tak dawno wypełniały jego świadomość, pozostało jedno — uczucie złości i jakiejś rozpaczliwej rezygnacji. Tymczasem bój zaostreał się coraz bardziej, nie można już było wyróżnić poszczególnych strzałów i jeden ciągły grzmot wypełniał powietrze. Kule zaczęły pogwizdywać nie w pojedynkę, lecz całemi rojami. Antek widział, jak siedzący o kilka metrów kolega nagle jęknął, wypuścił karabin i jakoś beznadziejnie utknął w ziemię; widział, jak nieostrożny rekrut, wysunąwszy się ponad nasyp, nagle się schwycił za pierś i obłąkanym wzrokiem wodził dokoła. W powietrzu skroś nieprzerwany grzmot dawała się odczuć nuta rozpacz czy strachu. Antka nie raziły te obrazy, nie przejmowały strachem, przeciwnie, patrzył na nie jak na zjawiska zupełnie naturalne, powszednie. Grzybkiewicz był stale obok niego i on również nie przejmował się zbyt, lecz gdy kula armatnia spadała w pobliżu, gdy wraz z bryłami ziemi leciały w górę poszarpane członki ludzi, mimowoli się oglądał i ukradkiem robił znak świętego krzyża.

— Antek — mruknął, schylając się do niego, aby być słyszany — jeżeli przyjdzie... tego na bagnety, pamiętaj, nie gorączkuj się, zawsze wybieraj jednego, kłuj mocno, ale nie głęboko i odrazu cofaj, a grunt — trzymaj się kupy.

Antek milczał, lecz z jego zaszępionej twarzy, okopconej prochem, z całej postawy widać było, że pchnięcia jego bagnetu będą gwałtowne jak piorun i nieuniknione jak przeznaczenie.

Przerastał Grzybkiewicza o całą głowę, a wypukła pierś i tęgie bary świadczyły o niepospolitej sile, w oczach płonął mu ogień.

Nadchodziło południe. Cała błotnista równina pełna była ruchu. Dwie siły zbrojne, zaczajone nocą w lesie i na wzgórzach, z wściekłością rzuciły się na siebie. Z głuchym tętentem przelatywały ołdziały artylerji, z rozpaczliwym krzykiem biegły naprzód szeregi piechoty, pułki konnicy czaiły się na krańcach tej równiny, aby w stosownej chwili rzucić się i rozstrzygnąć walkę.

Antek z Grzybkiewiczem, stale się znajdując w pierwszej linii, lada chwila spodziewali się ręcznego ataku. Dwie wrogie sobie linje wciąż się zbliżały do siebie. Już zaledwie paręset metrów dzieliło naszych bohaterów od posuwającego się naprzód wroga. Antek ze zdziwieniem, wśród huku dział i karabinów, wyróżnił głosy ludzkie od strony nieprzyjaciela.

— Idą — rzekł stary; a jakby na potwierdzenie jego słów armaty nagle umilkły, natomiast gra karabinów stała się częstszą. Okopy wprost zionęły ogniem. Antek rzucił okiem poza siebie. Wszystkie twarze jego towarzyszy były mocno przybladłe, oczy ich gorzały. Ruchy żołnierzy stały się gorączkowo nierówne. Dowódca kompanji, młody oficer, przybladły również, odbierał jakiś rozkaz, Grzybkiewicz ukradkiem się zegnał, stanowcza chwila nadchodziła. Oparty piersią o nasyp, wpatrywał się Antek przed siebie, a do uszu jego dolatywał wyraźny krzyk biegnącego do ataku nieprzyjaciela. Karabiny grzmiały.

Wtem poczuł Antek, że o nogi jego ktoś jakby się ocierał, więc obróciwszy się prędko, zobaczył pieska, który mądrze patrzył mu w oczy i przyjaźnie kiwał ogonem. Był to pies ich kompanji, który nieraz wyświadczał im nieocenione usługi. W wyobraźni Antka z piorunującą szybkością powstał obraz pieska, Burka, ich domowego, tam na Podlasiu, którego brat jego Jędrzek pewnego dnia skądś przyprowadził. Oblicze Antka rozjaśniło się, przyjaźnie cmoknął ustami, wydostał z kieszeni kawałek twardego suchara i rzucił go psu. Pies chciwie pochwycił pokarm i, kręcąc ogonem, jadł. Antek nachylił się i pogłaskał go.

Piekielny krzyk nagle poderwał Antka na równe nogi i zmusił do przyjęcia bojowej postawy: przed linją ich okopów, w odległości jakich dwustu metrów, fala nieprzyjaciela, najeżona bagnietami, pędziła z krzykiem na nich. Jeszcze chwila, a załapały ich okopy, lecz oto dowódca, dobywając szabli, dał rozkaz do kontrataku.

Antek, jakby pchnięty jakąś nadludzką siłą, wypadł z okopu i biegł, ściskając mocno karabin. Sto młotów biło go w skroń, mrowie przeszło po jego skórze. Jeszcze chwila i dwie ruchome masy starły się ze sobą. Wśród nieludzkiego wrzasku, jaki wydawały obie walczące strony, wśród jęku rannych, charkotu konających tu i owdzie odzywały się pojedyncze strzały. Pierwsze uderzenie wroga było tak silne, że szczupły oddziałek naszych począł się chwiać. Antek walczył zapamiętale. Cała jego istota jakby się skupiła w sobie i pałała jedną żądzą — dawania śmierci innym. Ze zdziwającą wyrazistością tkwiły w jego świadomości te słowa, które przed paru godzinami słyszał od Grzybkiewicza: „kłuj mocno, ale nie głęboko!"; zdawało się Antkowi, że w danym momencie całe jego istnienie koncentruje się dokoła tych słów. Mając przed sobą ludzi, którzy nastawiali na jego życie, popadł Antek w szal, jak wściekły rzucał się na wroga, opatrzywszy ofiarę, zdecydowanie zabiegał jej drogę i krótkim, lecz silnym ciosem topił w niej swój bagniet. „Trzeci” — przemknęło mu się przez mózg, gdy jakiś zmierzowany biedak, poczuwszy jego stal w swych piersiach, zachwiał się, wypuścił z rąk karabin i runął nagle nawznak, jęcząc cicho, jakimś jakby nieśmiałym głosem. Antek rzucił dokoła wzrokiem. Widok był straszny. Z obu stron biegli z wrzaskiem naprzeciw siebie żołnierze. Dowódca tamtych nerwowo wymachiwał szablą i zachęcał do walki. Głośne „hurra!” łącząc się z rykami rozbestwionych ludzi i chrapliwym wyciem rannych, wytwarzało akord tak dziko przeraźliwy, że Antek czuł, jak włosy mu się na głowie zjeżyły.

Niedaleko przed sobą spostrzegł, jak dwóch żołnierzy — wrogów przepychało się nawzajem, nie mogąc dosięgnąć siebie, obaj bowiem, schwyciwszy karabin przeciwnika u nasady bagnetu, bali się wypuścić z rąk broni przeciwnika, obaj byli przerażeni i bezradni. W skażonej strachem i wściekłością twarzy jednego z nich Antek poznał twarz Grzybkiewicza. Wściekłość go porwała. Prawie nie mierzając, skierował karabin w ich stronę i szarpnął za cyngiel. Rozległ się strzał. Przeciwnik Grzybkiewicza odskoczył nagle, jakby pchnięty jakąś nadludzką siłą, zakręcił się w miejscu i nagle pobiegł wtył, tak prędko, jakby uciekał od zgrai rozsierzdzonych czartów.

Tymczasem bój się wzmaczał, obie strony otrzymały posiłki, Antek pracował dalej. Wśród ogólnego zamętu, wśród dzikich wrzasków wściekłości, bólu i rozpaczliwej śmierci zbierała obfity plon. Lecz wróg za wszelką cenę chciał przełamać opór naszych i posunąć się naprzód. Z furją, jaka często zdradza się u człowieka, który będąc przyciśnięty do muru, nagle z za-

dziwiącą odwagą rzuca się na napastnika, choć z natury jest tchórzem, nowe kompanje wroga biegły do ataku; bój na bagnety rozciągnął się na całą linię. Antek z całą systematycznością stosował się do pouczeń Grzybkiewicza. Znowu nie jeden wróg poległ z jego ręki. Nagle dostrzegł Antek jak, wśród ogólnego zamieszania jakiś żołnierz nieprzyjacielski, pracując energicznie bagnetem, szerzył w ich szeregach znaczne spustoszenie. Gniew porwał naszego Podlasiaka, kurczowo ściskając karabin, zabiegł tamtemu drogę. Bagnety ich skrzyżowały się. Cofając się i nacierając, utkwili Antek swój wzrok w piersi wroga i pilnie śledził jego poruszenia; zdawało mu się, że przeciwnik jego już oddawna postanowił go zabić i właśnie teraz chce wykonać ten zamiar. Instynkt samoobrony uczynił z Antka jakąś machinę, która działała celowo, lecz nieświadomie. Jedno poruszenie, drugie, kilka ciosów odbijanych i odbitych i oto Antek poczuł, że bagnet jego zagłębił się w coś miękkiego. Instynktownie odskoczył w tył i po raz pierwszy spojrzał w twarz swego przeciwnika. Twarz tamtego pobladła, skurczona, świadczyła o bólu fizycznym.

Usta rannego wyszeptały: „O Jezul”, z piersi trysnęła krew.

Antek skamieniał. Zdawało mu się, że zaraz głowa mu pęknie; przerażonym wzrokiem wpatrywał się w swego przeciwnika, na oblicze którego spływał już cień śmierci. Antek, jakby przykuty jakąś siłą, nie mógł oderwać odeń wzroku. Myśli wirowały z szaloną szybkością w jego mózgu. Lecz oto jedna z nich, jak prąd elektryczny, wstrząsnęła całą jego istotą: — To brat! to Jędre! — przeleciało mu przez głowę. Zimny pot oblał go całego, jeszcze raz spojrzał na zabitego; zdawało mu się, że trup podnosi głowę i przyjaźnie do niego się uśmiecha; miał wrażenie, że na trupie tym kolejno zjawia się głowa raz Jędrka, drugi raz starego Grzybkiewicza. Zimny dreszcz wstrząsnął Antkiem, z gardła wyrwał mu się jakiś chrapliwy głos. Ciskając karabin, runął Antek nagle na ziemię i, jak oszalały, zaczął się na niej tarzać; oczy mu się przewracały, na usta wystąpiła piana.

— To brat! to brat! — jęczał, drąc konwulsyjnie ziemię.

Dziwne jego zachowanie się zwróciło uwagę Grzybkiewicza, który w owej chwili znajdował się niedaleko; przybiegłszy do Antka, a nie wiedząc, co mu jest, ze zdziwieniem przypatrywał się Antkowi, który nie przestawał tarzać się i rzucać konwulsyjnie.

— To brat! to brat! — jęczał chrapliwie Antek. Stary wzdygnął się i, rzuciwszy dokoła okiem, zauważył kilka nieznanomych

trupów, lecz nic więcej. Nagle przez mózg starego przeleciała myśl: zwarjował. Błyskawicznie szarpnął za manierkę, wydarł korek i chlusnął Antkowi resztkami znajdującej się w niej wody prosto w twarz. Antek nagle się zerwał, na twarzy jego malowało się przerażenie, graniczące z obłędem.

— To brat! — krzyknął nagle i z zaciśniętymi, wzniesionymi w górę pięściami pobiegł prędko w kierunku największej wrzawy bojowej. Grzybkiewicz podążył za nim. Roztrącając po drodze, dobiegł Antek do wzgórza, gdzie rosła owa samotna brzoza, która pierwsza witała wschód słońca. Obecnie wrzał tu najzaciętszy bój. Antek, jak oszalały, wpadł w wir walczących; w oczach jego gorzał jakiś dziwny ogień, twarz jego wydawała się natchniona. Z furją wpadł w najgęstsze skupienie walczących, z błyskawiczną szybkością wydarł szablę młodemu oficerowi, cisnął nią o ziemię i, zastępując mu drogę, grzmącym głosem krzyknął: — Stój! Tam brat! tam bracia! — Postać jego, wzniesiona ponad innych, zwróciła na siebie uwagę żołnierzy.

— Towarzysze! Tam bracia! — krzyknął Antek, wskazując w stronę nieprzyjaciela, lecz ugodzony kulą, padł nagle i zniknął w tłumie.

— Żołnierze, naprzód! Niech żyje zwycięstwo! — krzyknął oficer. Ruchoma masa przesunęła się po trupie Antka. Grzybkiewicza nagle opuściły siły, czuł, że nie może się ruszyć, z oczu na spłowiałą kurtkę spadały mu łzy.

Po dusznym, parnym dniu nastąpiła prawie takąż noc. Zdawało się, że jakaś zmora zawisła nad światem i dławi go. Ani księżyc, ani gwiazdy nie rozświetlały mroku tej nocy. Niebo było zaciągnięte ołowianą powłoką chmur. Śmierć i cisza panowały wszechwładnie na błotnistej łące. Zmęczone całodziennym zmaganiem się, pokrwawione, zdziętkowane oddziały, nie mogąc pokonać jedne drugich, cofnęły się na swoje dawne stanowiska. Na łące pozostały tylko trupy; leżały spokojne obok siebie, jakby pogodzone i zbratane. Na wzgórzu, pod samotnie sterczącą brzozą, leżał Antek. Na twarzy jego, prawie spokojnej, malowało się zdziwienie, usta były nawpółotwarte, zdawało się, że jeszcze szepcą: Towarzysze, stójcie, przecież tam są bracia.

G. O.

Przedwiosnie.

*Już ciepłe wiatry powiały z południa
I śniegi szare topnieją powoli,
Pożółkłe chwasty, zakryte od grudnia,
Szarzeją w plamach obnażonej roli.*

*Drzewa i krzewy z snu długiego wstają
Co pętał w zimie ich nagie korony,
I coraz świeże pąki wypuszczają,
Co się rozwiną w kwiat lub liść zielony.*

*Ptaszka szare, zachwycone słońcem,
Cieszą się, nucąc wdzięcznie hymn radosny;
Witając ciepło swem serduszkciem drżącym,
Co tak tęskniło do słońca — do wiosny!*

Z. III. m.

NADESLANE.

Koledzy i koleżanki!

Z murów naszego Seminarjum białostockiego od czasu do czasu docierają numery „Młodej Myśli” aż do pow. oszmiańskiego. Droga to jest daleka i miejscowość zapomnienia bliska. A jednak z przyjemnością muszę stwierdzić, iż młodsze koleżeństwo o nas pamięta. Co za miła niespodzianka, co za radość nieopisana, kiedy do byłego ucznia tegoż Seminarjum zawita „Młoda Myśl”. Wśród nawału pracy choć na chwilę, czytając owo piśmko, można ulecieć myślą do czasów „górných i chmuiných” i połączyć się z myślami kilkuset „Młodych”. Nigdzie indziej, tylko w szkole, są nasze najszczęśliwsze chwile. Tam naprawdę można powiedzieć, że „żyją”, bo wszelkie wymagania duszy, pod czujnym okiem kierownictwa szkoły, można w zupełności zaspokoić. Nie mówiąc już o pobieraniu wiedzy i nauki, w czem szkoła jest wielkim doradcą, przypomnijmy sobie wszystkie wieczorki koncertowe i sceniczne. Ileż tam piękna, ileż duszy jest włożonej przez naszych pp. profesorów i kolegów, kiedy oglądamy np. operę „Jaś i Małgosia” lub też słyszymy nasze piosenki polskie, wykonane przez chór seminaryjnej młodzieży! Jakim to dla nas jest klejnotem, dowiemy się wtedy, kiedy opuścimy ławę szkolną i pójdziemy w wir życia i stanimy przy warsztacie pracy nauczycielskiej. Wartość pracy koleżeńskiej, zebranych wieczorków towarzyskich i koncertowych, odbywających się w szkole, wtedy ocenimy, kiedy spotkamy się

z masami ludu, znieczulonemi na wszystko, co jest wielkie, piękne i szlachetne. Nie w innym, tylko w takim otoczeniu czeka każdego z nas praca nauczycielska. I nie kto inny, tylko my musimy rozbudzać wśród tych mas uczucia estetyczne i zamiłowanie do piękna pieśni polskiej. Czy jednak pod tym względem jesteśmy dobrze przygotowani, otrzymując świadectwo dojrzałości? Musimy stwierdzić, iż niezupełnie. Gdzież jest przyczyna tego? Odpowiedź jasna, że w nas samych. Nie umiemy, a większość nie chce, korzystać z tego, co nam dają nasi pp. profesorowie przedmiotów artystycznych. Śpiew np. ogólnie jest niedoceniany. Ileż to młodzieży idzie na śpiew, już to klasowy, już też chórally wprost pod przymusem i z tą myślą, ażeby jak najprędzej doczekać się końca. Czyż można spodziewać się od takich jednostek korzystnej pracy w dziedzinie podniesienia poczucia piękna w naszym narodzie? Nie. A społeczeństwo czeka na nas, czeka na ludzi, którzyby wszczepili w duszę młodzieży piękno i pieśń polską, zamiast pieśni obcych i bezwartościowych. Ogromnej liczbie działwy polskiej piosenki nasze są nieznane, dzieci śpiewają natomiast piosenki rosyjskie, dla nich niezrozumiałe, z którymi się zapoznali, przebywając w otoczeniu starszych osób. Muszą takie śpiewać, bo brak jest ludzi, którzyby nauczyli je piosenek lepszych, bardziej trafiających do ich duszy. Porównując śpiew z innymi przedmiotami nauczania w szkołach powszechnych, stwierdzić należy, iż jest on traktowany po macoszemu. Lekcje śpiewu uważane są najczęściej za rozrywkę i ograniczają się do nauczania piosenki, upośledzonej pod względem form i zasad muzycznych. Nie można jednak powiedzieć, by młodzież nie garnęła się do pieśni. Poczucie piękna w serduszkach tych maluczkich głęboko tli się, jak również chęć do nauki śpiewu wykazują ogromną. Trzeba tylko ludzi, którzy umiejętnie zabraliby się do pracy i z całą świadomością wykorzystali i rozwinięli w nich zdolności artystyczne. Jak wielką i doniosłą rolę w życiu człowieka odgrywa śpiew, każdy zdaje sobie doskonale sprawę. Czy to w smutkach, czy w radościach pieśń jest zawsze jego wiernym i nieodstępnym towarzyszem. Niemniej cenne usługi oddaje nam pieśń, jeżeli chodzi o rozbudzenie w dzieciach pierwiastka patriotycznego; ona uczy je historii, geografii, ona daje możliwość poznania duszy naszego narodu. Zadanie więc pieśni jest wielkie i ważne. Musimy to zrozumieć i zmienić ogólnie przyjęte co do śpiewu przekonanie. Nie powinniśmy dać się wyprzedzić pod względem rozwoju pieśni narodowej innym krajom, tem bardziej, iż pieśń polska jest bogata i powszechnie przez inne państwa ceniona. A u nas, szcze-

gólnie po wsiach i małych miasteczkach, śpiew stoi na martwym punkcie i każdy chyba zgodzi się na to, iż tak nadal być nie może. A więc do pracy—do pracy przede wszystkim nad sobą! Sami musimi pokochać i dobrze poznać śpiew, ażebyśmy mogli w przyszłości innych nauczać. Mało jest jeszcze opanować śpiew technicznie, trzeba go ożywić, dać treść życiową—włożyć weń duszę, a wtedy możemy spodziewać się należytych rezultatów. Dużo możemy zrobić, bo mamy w sobie dużo zapału i energii, lecz — jak mówi Wyspiański — „trzeba ino chcieć chcieć”.

P. Jastrzębski.

Grosz ubogiego.

(Przypowieść)

W pewnem wielkiem mieście za pieniądze, uzyskane ze składek publicznych, wybudowano szkołę. Budynek wystawiono bardzo piękny, jak to przystało na świątynię nauki, pieniądze zaś zbierano od ludzi wszelkich stanów. Dawali wszyscy: księża, urzędnicy i robotnicy. Znaczna zebrała się suma; stanął też gmach tak piękny, iż po całych godzinach przypatrywać się było można pysznym jego kolumnom.

Przed tymże gmachem stawał pewien ubogi człowiek i przypatrywał mu się z wielką radością. Śmiał się i zacieierał ręce, a szczególną objawiał radość, widząc, jak uc niowie szli na lekcje, albo z lekcji wychodzili.

Nie uszło to uwagi chłopców i wzbudziło ich ciekawość.

Pewnego razu, gdy po ukończeniu nauk rocznych wychodzili ze świadectwami szkolnemi, obstąpili gromadą owego człowieka i pytali go, dlaczego się tak raduje.

— Cieszę się—mówił pocziwiec—gdyż myślę, że i ja do waszych nauk przyczyniłem się trochę.

— A to jakim sposobem?—krzyknęła gromada, śmiejąc się i biorąc pod boki.

— Nie śmiecie się, moi panowie—odrzekł wyrobnik łagodnie. Ot, kiedy zbierano składkę na waszą szkołę, i ja dałem na nią ciężko zapracowaną złotówkę. Nie żał mi jej wcale, owszem, cieszę się niewymownie, bo widzę, że w tej szkole uczy się tylu młodzieńców, a nauka wykieruje was na ludzi pożytecznych krajowi.

— A bez waszej złotówki pewno nie byłoby tego wszystkiego?—rzekł jeden szyderczo.

— Cha, cha! cha! — wrzasnęła reszta, śmiejąc się do rozpuku, i rozbiegła się w różne strony.

Ubogiemu lzy stanęły w oczach, gdy wtem przystąpiło do niego dwóch starszych młodzieńców. Ci skłonili mu się z uszanowaniem, a jeden z nich odezwał się w te słowa:

— Błogosławione twe pracowite ręce i błogosławiony twój grosz, rzucony do skarbnicy naszej nauki! Do końca życia nie zapomnimy, że i tobie zawdzięczamy to światło, które w dalszym życiu ma nas prowadzić ku dobru naszemu i całego społeczeństwa.

Ciesz się i raduj, pocziwy człowiecze, a Pan Bóg wynagrodzi ci kiedyś sownie ten ciężko zapracowany grosz, który złożyłeś dla nas w ofierze.

Aneta.

Kontrasty.

(Opowiadka).

Burza się rozpoczynała. Ciemna chmura, skłębiona, poszarpana z brzegów, niosąca ze sobą wichry i pioruny, pokryła większą część sklepienia niebieskiego. Kilka ciężkich kropli deszczu spadło już na pylną drogę, listki drzew trwoźnie szeleściły, już odgłos pioruna zagrział gdzieś w chmurze, jeszcze chwila, a rozpętany żywioł zapanuje nad ziemią.

Nad mojem oknem, pod słomianą strzechą, znalazła schronienie para gołębi. Usiadły na drążku, blisko siebie; para ta zapomniała — tak mi się zdawało — o burzy, o deszczu i piorunach. Gołąbki, cicho gruchając, pogrążyły się jakby w drzemkę; zapatrzone w siebie, pochłonięte sobą jedynie, ze spokojem patrzyły na nadchodzącą nawałnicę.

— Jak im dobrze! — myślałem. — Ile spokoju i cichego szczęścia!...

Tymczasem burza, jak zerwany z łańcucha dziki zwierz, gotowała się do walnej rozprawy. Gwałtowny wicher ze świstem wypadł z chmury i uderzył w bór. Bór ciemny, wiekowy, ugiął swoje dumne czoło i trwoźnie zaszumiał. Burza się rozpętała. Gołąbki cicho gruchały. Po każdym uderzeniu pioruna, po każdym silniejszym podmuchu wiatru, słyszałem, jak trwoźnie się poruszały i tuliły do siebie.

— Jak im dobrze! — myślałem. — Cóż obchodzi tę srebrnopiórą parę, że wiatr szaleje, że pioruny biją, że deszcz leje całemi potokami! Im tu tak dobrze pod tą słomianą strzechą, gdzie ani deszcz, ani wicher nie może ich dosięgnąć. Tymczasem burza szalała. Półmrok ogarnął ziemię. Dzień prawdopodobnie już się kończył, gdyż mrok stawał się coraz gęstszy, a błyskawica coraz ostrzej i jaśniej przerzynała skłębione chmury.

Biała para siedziała nieruchomo obok siebie. Pod wpływem wieczornego zmroku gołąbki sposepniały, wzrok ich stawał się senny, ociężały. Deszcz lał w dalszym ciągu, lecz wiatr ustał. Burza powoli przechodziła w cichy, ciepły, letni deszcz. Równy, monotonny szum deszczu działał na mnie dziwnie usypiająco.

Spojrzałem na moje gołąbki: przytulone do siebie, z główkami, schowanymi pod skrzydła, spały.

— Jak im dobrze! — pomyślałem i senność zaczęła mnie ogarniać. Plusk spływającej wody i szum spadających kropli deszczu senność ową potęgowały; jeszcze chwila, a senne me powieki zamknęłyby się, lecz oto z pod strzechy doleciało mnie ciche gruchanie, to gołąb uspokajał swą strwożoną towarzyszkę, czy też oznajmiał, że burza już minęła. Deszcz cicho szemrał. Mrok nocy zeszedł na ziemię.

Gołąbki cicho gruchały. Przez otwarte okno wionął do mego pokoju zapach fiołków. Znowu senne powieki zaczęły mi ciężać. Mrok panował niepodzielnie, nic już nie mogłem rozróżnić dokoła. Deszcz szemrał, lecz coraz cichszy, równiejszy. Było tak cicho, spokojnie, błogo...

— I cóż znaczą wszelkie burze z gromami i wichrem wobec ciszy i spokoju duszy! — pomyślałem i użułem, że oczy mi się zamknęły. Deszcz szemrał...

Wrażenia z Trembowli.

Ostatnie wakacje spędziłam na Podolu, w historycznej miejscowości, Trembowli.

Mała ta miejscina nie posiada żadnych szczególniejszych zabytków, oprócz widniejącego zdala starego zamku, a raczej jego ruin.

Wokoło opasują Trembowlę lasy, sady i niskie chaty wieśniacze, kryte słomą. Wśród tego wiję się rzeka Seret i dopływ jej — Gniezna.

Okolice Trembowli są bardzo piękne. Długie obszary stanowią łąki, które zdają się być cudnymi kobiercami.

Patrząc na nie zdala, widzi się pięknie porzucane barwne plamy, podchodząc bliżej, rozpoznaje się poszczególne gatunki kwiatów i tak: niebieskie chabry, żółte jaskry, czerwone maki, białe, duże rumianki i wiele innych, które łącznie z zielenią trawy tworzą cudny dywan.

Po obu stronach drogi polnej kołyszą się złote łąny zbóż, na których pracują kobiety w barwnych i mężczyźni w białych,

lnianych ubraniach i dużych, słomianych kapeluszach (własnego wyrobu).

Idąc drogą, spotyka się często białe kapliczki, z figurą Matki Boskiej, lub krzyże, z wyobrażeniem Męki Pańskiej.

Chaty wieśniaków są nieduże. Jedne z nich są drewniane, inne z gliny. Ściany nazewnątrz są bielone, a węgly zwykle wyrzeźbione rozmaicie i pomalowane w kilka kolorów.

Spotyka się też domy białe, nakrapiane farbami.

Przed oknami takich domów są ogródki z kwiatami i sad owocowy.

Lasy są przeważnie liściaste. Nierzadko spotkać w nich można wąski strumyk o czystej, źródlanej wodzie; z obu jego stron stromo wznoszą się ściany gór z czerwonego piaskowca, złożonego jakby z drobnych łusek.

Hen, na górze, zielenieje las i czerwienią się poziomki, rzadko zrywane.

Przechodzień, patrząc zdali, pewny jest, że materiał góry jest twardy i zbity, dlatego też rażno wstępuje po ścianie, aby dotrzeć do nęcących go poziomek.

Uszedłszy szczęśliwie kilka kroków w górę, odpoczywa, myśląc zarazem, że za chwilę znajdzie się u celu, gdy nagle usuwają mu się z pod nóg sypkie łuski piaskowca i biedny turysta, nie mając żadnego oparcia, zsuwa się wdół, zasypywany zdradzieckim materiałem.

Kilka razy podejmuje trud taki, ale wkońcu musi stwierdzić, że praca jego zawsze będzie „Syzyfową”, więc, zrezygnowany, idzie orzeźwić się wodą ze strumyka.

Najcenniejszy zabytek Trembowli, zamek, stoi na górze.

Idąc doń, trzeba się porządnie zmęczyć, zwłaszcza podczas dnia upalnego.

Droga wiję się naokoło góry, aż wreszcie doprowadza do ruin zamku.

Grube i stare jego mury sterczą wysoko ku niebu, a wokoło nich rosną olbrzymie, wiekowe drzewa.

Najciekawsze odwiedziny tych murów były wieczorami.

Zebrane w gromadkę, szliśmy do zamku i tam, siedząc na kamieniach, słuchałyśmy opowiadań pewnego staruszka o dziejach tego zamku i jego mieszkańców.

Słowom starca wtórował poszum drzew i szemranie płynącego w dole Seretu.

Miedzy innymi słyszałyśmy, jak to w r. 1674, zaraz po elekcji, nie czekając na koronację, wyruszył Sobieski przeciw Turkom, którzy oblegli warowny zamek w Trembowli.

Dowódca załogi, Samuel Chrzanowski, bronił się początkowo, wreszcie, przerażony wielką liczbą nieprzyjaciół, zwołał swoich żołnierzy na radę, co dalej czynić. Wszyscy zgodzili się na to, żeby oddać fortecę Turkom; wtem stanęła między nimi żona dowódcy, Zofja Chrzanowska i, trzymając nóż w dłoni, groziła, iż męża i siebie zabije, jeżeli będzie myślał o poddaniu się.

Ta rycerskość kobiety pobudziła waleczność żołnierzy: walczyli mężnie dalej, aż wypędzili Turków i oswobodzili Trembowlę.

Kiedy przebrzmiało ostatnie słowo opowieści starca, zalegała wokół uroczysta cisza. Myśli nasze ulatywały do tych odległych czasów, a usta szeptały z dumą: „Tu walczyli Polacy, tu przelewała się polska krew poto, abyśmy teraz mieli wolną Trembowlę i mogli w niej spokojnie pracować”...

Wstawaliśmy z miejsc i szliśmy do wzniesienia z kamieni, porośłego winną latoroślą, na którym stoi pomnik Zofji Chrzanowskiej.

Zdała już widnieje biała, wysoka postać tej bohaterkiej Polki, majestatyczna, dumna, zwycięska, trzymająca za pasem miecz, a w dłoni nóż.

Postać ta nakazuje nam, Polkom, być mężnemi, dumnemi i stanowczemi.

Odczuwaliśmy ten jej nakaz, i stojąc u stóp bohaterki, postanawialiśmy spełnić go niezłomnie.

My, Polki, wierzymy w swe siły. Wierzymy, że potrafimy narówni z mężczyznami służyć ojczyźnie.

Oni mogą walczyć orężem, a my cichą, wytrwałą, pełną poświęcenia się pracą. Nasza stanowczość i siła woli cuda tworzyć może.

My, Polki, kochamy Polskę najgorętszym żarem ducha, a kobieta, jeżeli coś kocha, potrafi zdobyć się na największe ofiary — jeżeli one jej nie hańbią.

Złożywszy te myśli u stóp pomnika, odchodziłyśmy w bok, aby z góry spojrzeć na wstęgę Seretu.

Toczył spokojnie swe wody i kołysał mnóstwem fal.

Gwiazdy odbijały się w ruchomej głębinie srebrno-złotymi taśmami.

Księżyc skrzył się na wodzie czerwono-złotymi smugami, tworzącymi czarujące schodki.

Drzewa nadrzeczne rzucały cienie na wodę i cichutko gwarzyły o dawnych, dawnych czasach.

Mgły białe otulały całą Trembowlę, cichą już teraz i spokojną.

Skala.

Legenda natury.

Legenda to stara, choć wiecznie młoda. Ona to, Matka-Natura, wzbudzała w piersiach ludzkich promienie natchnienia. Ona to wykołysała i wypieściła w duszy człowieka wieczystą tęsknotę, zrodzoną z bólu, z dążenia do piękna, do prawdy i dobra. Jej to czar dawał wzniosłość myśli i bodziec do prometejskich wzlotów ducha człowieczego. Jej to legenda wędrowała wśród ludzkości. Ona nieraz zwykłych zjadaczy chleba przemieniała w tytanów myśli i uczucia. Jej to hołd składał Sokrates, gdy służył bogom i umierał z czarą cykuty w rękę! W jej imieniu gorzał na stosie Giordano Bruno, a Galileusz cierpiał w więzieniu.

Ona, tak, tylko ona, była wieczną pobudką do walki w imię nauki. I dzisiaj, po tylu wiekach, czar jej jest niezmiennie świeży, a urok niezmiennie potężny.

Nazwano ją „naturą”. Królewska to jest Natura. Piękność jej jest dziełem Boga. Złote promienie słońca składają na jej obliczu tęcze i pocałunki radości. Strumienie światła oblewają jej postać i igrają na pełnych wdzięku fałdach jej sukni.

Królewska jest ona — Królewska!

Jej piękno—to wieczysty pierwiastek, to wcielenie ludzkiej tęsknoty. Piękno jest harmonją jej wdzięków i powabów, zdaje się błyszczeć czarem wzorzystej makaty, którą haftował Mistrz nad Mistrze.

Kształt jej — to ucieleśnienie najśmielszych marzeń człowieka o ideale piękna; Ona jest źródłem życia i niem samem; Ona jest terenem—matką z odwiecznej mądrości płynących przeciwieństw, więc, smutek bratał się tu z radością, a trumna z kołyską.

Stała, wyniosła, spokojna, niby ostatnia przystań, niby matka dla tych, co utracili wszystkie nadzieje w życiu i szukają już tylko ciszy i spokoju. Naokoło rozniecała czar swej piękności, woń swej urody. Szata jej olśniewa tysiącem barw: w górze skrzy się srebrem gwiazd i błękitem nieba, w dole wabi oko różnowzorym kobiercem kwiatów.

Ale na twarzy ma tajemniczą zasłonę. Okrywa się ona świeżą zielenią wiosny, latem złoci się łanami zbóż, jesienią igra harmonją barw, zimą przywdziewa białe godowe szaty. A legenda o Niej od wieków szła i szła w parze z ludźmi i życiem. Jak wicher podnosiła łany głów ludzkich i dawała im upojną moc nadziei. Rozgorzały więc serca ludzi—zatrzepotały dusze. Wieczna tęsknota, wieczny smutek i wieczna na-

dzieja przemówiły do nich poszumami pól, poświstami burz i hukiem morza. Zerwali się ludzie, jak młode orlęta, na krzyk matki i ruszyli w niebezpieczną podróż po manowcach życia. Do sakwy swej podróżnej włożyli niezniszczoną wiarę i pragnienie poznania. Szli, wspierani światłem dnia i żądzą onego poznania. Przyszli! Wystąpił z pośród ich grona człowiek-genjusz i podniósł zasłonę z twarzy Matki-Natury. Przestraszył na ludzkich obliczach, bo zdawało im się, iż z poza zasłony wyjrzała twarz trupa. Cofnęli się! Odeszli, a w duszach ich rozgościły się: zwątpienie i czarna rozpacz.

Ale legenda się szerzy. A ona, Natura, stoi dalej w swej piękności, pełna czaru i nikt nie zna jej tajemnicy.

III. m.

Wiosna powraca.

*Wiosna powraca, park nasz zmienia szatę;
Stroi się w barwy zielenią bogate,
Ptaszę powraca z dalekiej wędrówki,
I kwiatki małe wychylają główki.*

*Wszystko ożywia się w słońcu dokoła:
Aleje szare kładą strój zielony,
Kwitnące wierzby i trawy i zioła
Złocą się, blaskiem słońca zachwycone.*

*Staw tylko skutą skorupą lodową,
Której nie zmogło jeszcze ciepło słońca,
Wciąż przypomina nam rozkosz zimową,
Ta szyba lodu na stawie błyszcząca.*

*Dni wciąż cieplejsze, jaśniejsze nastają,
I w życiu naszym pewne zmiany przyjdą,
Aleje mokre zwolna wysychają,
I nasze „parki” też do parku wyjdą.*

*I wnet się gwarnie boiska zaroją,
Park nasz wesela odezwie się echem,
Bo oto wiosna wita młodzież swoją,
I darzy wszystkich promienym uśmiechem.*

Z. III. m.

HUMOR I SATYRA.

Zawiedziony.

(Humoreska).

Jeżeli są dziwni ludzie na świecie, to Władzio z pewnością był jednym z takich.

Sam często wyrażał się o sobie, że jest konglomeratem zła i dobra, jednocześnie djabłem i aniołem, że wreszcie... jest — lichy wie kim, i nie wie, poco wogóle istnieje. Był to niewątpliwie pesemistyczny pogląd na swoje ja (zapomniałem dotąd zaznaczyć, że Władzio był filozofem), to też setki razy staraliśmy się „oświecić” koleżkę, ale nic nie pomogło — Władzio pozostał nadal sobą. Był przystojnym chłopcem, byłby nawet ładnym, gdyby nie jego osobliwie filozoficzny pogląd na użyteczność grzebień i szczotki, wobec których to przyborów toaletowych zajął nasz bohater stanowisko pełne lekceważenia i pogardy.

Szczególnie zaś denerwująco działał na Władzia widok elegancko wyczyszczonych butów.

Słowa wtenczas nie mógł wyrzec, tylko kiwał z politowaniem głową i, przyszedłszy do mnie, mówił natchniony o tych błogich czasach, kiedy to ludzkość zrzuci ze siebie kołnierzyki, krawaty i ciasne ubrania, a przywdzieje strój najpraktyczniejszy — zwykły worek.

— Spojrz — mawiał — ile to godzin czasu w życiu zaoszczędzi człowiek, kiedy przestanie spędzać 15 minut dziennie przed lustrem.

Będąc w naszym seminarjum, zmechanizował się Władzio zupełnie: chodził na lekcję, bo musiał tam się wynudzić, biegł razem z innymi na obiad, nie dlatego, broń Boże! — żeby odczuwać potrzebę jedzenia, lecz dlatego, żeby „ta jucha, Jasiuś, nie zdmuchnęła mu porcji”.

Często bywało, że koledzy, chcąc go ściągnąć z wyżyn ducha, po których błądził, grzecznie nakrywali mu głowę i, położywszy na ławce, wykonywali ruchy podobne do młócenia.

Władzio wtedy analizował doznawane uczucia i wielkim głosem wołał: Polacy!

— A tak, żebyś wiedział, jak Polak bije — mawiali koledzy. Prawdę mówiąc, był Władzio dobrym chłopcem.

Kochał on całą ludzkość, poczynawszy od dzikusów, a kończąc na najbardziej ucywilizowanych Europejczykach, ale naj-

bardziej, bo poprostu do szaleństwa, kochał — Marysię. Często wieczorami, kiedy siedział pochylony nad Kantem lub Platonem, stawiała mu przed oczyma jej postać. Wtedy rzucał w kąt filozofję i wychodził na korytarz, aby być sam ze sobą.

Boże! — wzdychał — Przyczyno Wszechrzeczy! dlaczego jestem nieszczęśliwy? Do oczu cisnęły mu się łzy, gdyż Władzio, jak prawie wszyscy wielcy ludzie, kochał się nieszczęśliwie i to usposabiało go pesymistycznie.

Raz, a było to wieczorem, wpada do mnie mocno podniecony, w kołnierzyku, przypominającym stare, podarte chomonto, z cudownie przyczepionym doń krawatem, i sadzi prosto ku mnie!

— Karolku! — żebyś wiedział... diabli mnie biorą... daj pyska, przyjacielu!... teraz mogę zdechnąć...

— Co takiego? bój się Boga, Władek! — oszalałeś?

— Idę ci, bracie, idę, leżę jak koń dorożkarski, patrzę... i oczy stanęły mi słupem, a włosy dęba — Ona! Ja za łeb, zdjąłem czapkę i stanąłem jak wryty, a Ona (ach!) spojrzała na mnie... spojrzała, rozumiesz?

— Cośnecioś.

Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli kłamię, uśmiechnęła się bosko. Zaniepokoiłem się mocno, bo deszcz padał.

— Jakto: na ulicy stałeś z czapką w ręku? — zapytałem.

— Jak słup, nic i nikogo nie widziałem, tylko Ja, pragnąłbym tak stać i patrzeć wieczność całą, pragnąłbym podróżować z nią w zaświaty, w nieskończoność.

Długo mi mówił jeszcze tego wieczora o powinowactwie dusz, o tem, jak wielcy ludzie, naturalnie i on, potrzebują szczerze przywiązanych istot (przez te „istoty” należy rozumieć rodzaj żeński, a w tym wypadku Marysię) itd. itd., wreszcie tak się rozczerzył, że „fundnął” kino.

Władzio posiadał jeszcze drugą słabość — kochał muzykę, ale, niestety, miłość ta była o tyle tragiczną, że Władzio sam nie umiał grać.

Często, rozgoryczony niepowodzeniem, chwycił za skrzypce i grał „La mort d'Aze” Griega.

Ale skoro pociągnął smyczkiem po strunach, wszyscy koledzy, siedzący w tej samej klasie, czem prędzej wynosili się ze spotęgowaną ostrością apetytu.

Struny pękały na skrzypcach w odległości 100 metrów naokoło, a nieraz mi się zdawało, że umarli grzmocą pięściami w ściany trumien, wołając: „Któż jest ten, co ma ci spokój grobów?, zaliż trąba archanioła wzywa nas na sąd ostateczny?”

Nieraz, wieczorem, kiedy mnie złapał, musiałem mu grać w kółko „La mort d'Aze”, a wtedy wzrok Władzia zaczynał błyszczeć jakimś fosforycznym blaskiem, policzki mu pałały, a czupryna przypominała dziewczyną puszcę brazylijską — wpadał w natchnienie.

— Jaki ty jesteś szczęśliwy, że umiesz grać „Śmierć Azy” — mówił. — Ty myślisz, że ja nie kocham muzyki, że nie mam uczucia, że we łbie siedzi mi tylko Nietsche?

Widzisz... śmierć! Cóż może być piękniejszego nad śmierć?

A dlaczego wy wszyscy boicie się tego piękna?

Widzisz: muzyka ma o tyle przewagę nad literaturą, że, jeśli tamta wchodzi do głowy, to muzyka jest tylko bodźcem, który pobudza struny naszej duszy do grania.

Muzyka wzbudza tęsknotę za pięknem, ale nie zadawała naszej duszy i dlatego jest boską. Czy byłeś kiedy zadowolony po wyjściu z opery? Nigdy!

Wychodziłeś zawsze, teskniąc za czemś, gdybyś był wielkim, wtedybyś tworzył.

We mnie budzi muzyka zawsze dziwną tęsknotę za pięknem i tęsknię za śmiercią, bo ta właśnie jest pięknem, to samo musieli czuć Grieg i Chopin, bo oni chcieli żyć życiem innym, doskonałem, bo nie chcieli umrzeć, tak jak ja nie chcę zdechnąć. Takie to i podobne mądrości wygłaszał zakochany Władzio.

Tymczasem przyszła wiosna.

Cały park ożył i pokrył się bujną i świeżą zielonością, budząc powszechną radość.

Interniści (rzecz nadzwyczajna!) coraz częściej zaczęli pojawiać się w parku po długim śnie zimowym, budząc podziw nawet wśród stad wróbli, dzierlatek, jaskółek i innych „śpiewaków”, a sportsmeni biegli „na łeb — na szyję”, na boiska kręcić karki, bić rekordy, słowem, wszystko ożyło.

Pewnego razu przychodzi do mnie Władzio, ale jaki? Nie widać ani zwykłego połysku w oczach, ani twórczego zapachu, jest smutny i markotny, podobny do mieszkaka, z którego wypróżniono tabakę, albo do własnych jego spodni, które nigdy nie widziały żelazka.

Westchnawszy głęboko, zaczyna:

— Nie mam poco żyć na świecie!

— No?! wrzasnąłem przestraszony.

— Nie kocham jej — tu pochylił głowę i kilka łez, podobnych do ziaren fasoli, stoczyło się mu po twarzy.

— Mów, co się stało?

— Ano, myślałem, że (ach!) Ona jest istotą nadziemską, tymczasem, ach, Karolku, Ona jest tylko—człowiekiem!

Dzisiaj z nią rozmawiałem (pierwszy i ostatni raz); myślałem, że przemówi do mnie językiem bogów, albo językiem Homera, tymczasem mówiła całkiem prozaicznie.

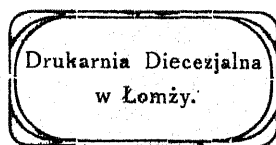
Myślałem, że Ona żywi się ideałami, poezją — tymczasem? Dzisiaj na własne oczy widziałem, jak na pauzie kupowała zwykłą bułkę za dwadzieścia groszy, taką samą, jaką zwykle kupuje tłusciutki Ludwiczek.

— I czyż ja ją mogę kochać?—ryknął jak dzwon śpiżowy.— Bracie, dzisiaj wracam do filozofji.

Może zagoi mi ranę serca, bo ciężko mi żyć na świecie... To rzekłszy, wyciągnął z za pazuchy Kanta i poszedł rozmyślać o istocie wszechrzeczy.

Kotłowski.

**Odpowiedzi Redakcji w sprawie nieprzyjętych
artykułów umieszczone zostaną w kwietniowym nu-
merze „Mł. M.”**



Drukarnia Diecezjalna
w Łomży.